

Rozdział I

W matni systemu

1.

Siedząc w tych czterech ścianach, gapiąc się bez celu w okno i myśląc, co będę robił za parę minut, nie mogłem pojąć, czemu ja tu właściwie jestem? Niby robota jak każda inna, ale czy wyjaśni mi ktoś, po cholere siedzimy przy komputerach, wklepując dane, które równie dobrze może robić sam program? Nie wytrzymam. Wstałem z krzesła, zmierzam w kierunku drzwi i nie wiem jakim cudem, ale spojrzałem instynktownie pod nogi. Jakież miałem szczęście! O mały włos wdepnąłbym w substancję niewiadomego pochodzenia, wypisz, wymaluj czyjeś rzygowiny! Nie sprawdzałem organoleptycznie, co też zajmuje dobrych dwadzieścia centymetrów kwadratowych wykładziny w moim biurze, ale domyślam się, że to prezent od mojego poprzednika. Podobno gdy dowiedział się, ile jest winny firmie, trafił do szpitala ze stanem przedzawałowym. Łapię za klamkę od moich drzwi, już mam otwierać, gdy do głowy przychodzi myśl: „co też robią te matoly w sąsiednich pokojach?”. Na pewno siedzą i czekają pod drzwiami, nasłuchując, kiedy się ugnę pod ciężarem powierzonej mi odpowiedzialności. „Taki chuj!” – myśl zwrotna – i wracam do biurka. Oczywiście nie byłbym sobą, gdybym nie zaliczył potrójnego toelooapa nad zalegającym pawikiem. Na komputerze zdążył już się załączyć wygaszacz ekranu. Próbuję zmienić ustawienia – „wprowadź hasło administratora

systemu” – i podziękowałem za współpracę ze sprzętem. Może dostanę jakieś kody, hasła, nie wiem, zapytam później. A, właśnie, rzygowiny zaczynają już porządnie cuchnąć. Nie wiem nawet, czy do moich obowiązków należy sprzątnięcie tego gówna? Czy to superzadanie pani sprzątaczkki? Jeśli ona się tym zajmuje, to czemu ja to w ogóle widzę? Czasu na rozkminkę mam więcej, niż bym chciał. Może jednak warto wyjść i wreszcie zapytać o nurtujące mnie sprawy? Tak, tylko jakoś nie miałem pytań na porannym obchodzie szkoleniowym. Ale skąd mogłem wiedzieć, że w moim biurze znajdę tak uroczy prezent? Nawiasem mówiąc, „biurem” ten pokój został nazwany nawet bardziej niż na wyrost. Klitka o paru metrach kwadratowych, jakich pełno na tym piętrze. Jakby nie mogli zamontować małych, cieniutkich ścianek działowych na metalowych nóżkach. No, ale nie, potrzebna jest cisza, spokój, ważne jest skupienie. Nic trudnego, zwłaszcza ze strawioną padliną na moim dywanie. Wszystko już ładnie zwykłem nazywać tu moim: biurko, komputer, krzesło, wykładzinę, drzwi. Jedyne, co tu jest moje, to dupa. Chociaż, po podpisaniu umowy o pracę, nie jestem już tego taki pewien. . .

W końcu wychodzę z biura. Sterylność korytarza burzy tylko typowo biurowa wykładzina podłogowa koloru szarej zieleni. Gdzieniedzie obrazy na ścianach, przedstawiające ulice miasta w czerni i bieli, oraz kilka doniczkowych kwiatów na podłodze dopełniają obrazu typowego korytarza wielkiej firmy maklerskiej. Idąc wzdłuż niego, mijam kolejne drzwi biur identycznych jak moje. Na końcu korytarza widzę pomieszczenie WC. Postanowiłem skorzystać, mimo że zbytnio mi się nie chciało „uwalniać orki”. Czy ja mogę tak w ogóle odrywać się od pracy i iść do kibla? Może to czynność przewidziana w czasie przerwy? Nie wiem, ale jakby kogoś porządnie skręcało, to na pewno by nie czekał na przerwę. Przykład przeciwnego działania zalega u mnie w pokoju. Po wyjściu z kabiny umyłem dokładnie ręce i zmoczyłem twarz. Przeglądam się dokładnie w lustrze. Krople wody spływają mi po policzkach. Lekko zmarszczone czoło i robiące się coraz większe zakola dodają mi nieco do moich trzydziestu dwóch lat. Niebieskie, lekko podkrążone od niewyspania oczy jeszcze nie zawodzą,

a lekki zarost na podbródku to ślady niedokładnego golenia się rano w pośpiechu. Wytarłem ręce i twarz papierowym ręcznikiem i udałem się z powrotem do biura. Po otwarciu drzwi od toalety wpadłem na jakiegoś gościa.

– Cześć! Ty jesteś ten nowy! – Gdyby entuzjazm potrafił unosić, ten typ fruwałby pod sufitem jak mucha szukająca wejścia do jarzeniówki.

– Yyy... Tak... Max Stevenson. Witaj.

– Jak się masz! Jestem Vincent, Vincent Lamatti. Przyjaciele mówią mi Vinnie.

– Miło mi poznać. Więc... Jak wygląda praca tutaj? – zapytałem jakby od niechcienia, żeby podtrzymać rozmowę, mimo że już miałem delikwenta dosyć.

– Wiesz, robota jak każda inna. Trzeba wiedzieć, kiedy masz coś zrobić na już, na zaraz, albo na wczoraj, he, he, he. Poza tym jest tylko jedna zasada, ale za to bardzo ważna – wszystko, co powie szef, jest święte.

– Mój szef? Van Cronen?

– Twój, mój, nasz!

– Dobrze wiedzieć... A jaki on jest?

– W sumie to równy gość. A, właśnie – masz się u niego zjawić. Miałem ci to przekazać. Staw się natychmiast. Nie lubi ignorowania jego poleceń.

– Gdzie go znajdę?

– Ostatnie piętro. Nie da się nie trafić, bo korytarz z windy prowadzi do jedynych na tym piętrze, podwójnych drzwi – to gabinet szefa.

– Dzięki, pójdę tam od razu.

– Powodzenia! – zakończył entuzjastycznie mój nowy znajomy. Typowy Włoch – ciemniejsza karnacja skóry, czarne, nażelowane włosy zaczesane do tyłu. Pieprzyk na policzku. Biżuteria wystająca spod niedopiętej, białej koszuli pod marynarką od Armanięgo. To jeszcze dzieciak. Miał może ze dwadzieścia pięć lat, a już tak się ustawił? Może ta praca to jednak szansa na zrobienie dużej kasy w krótkim czasie? Albo zarobienie się na śmierć...

Zmierzam na koniec korytarza w kierunku windy. Po wejściu

doń uderza mnie czysta, sterylna wręcz przestrzeń oraz powiew nowoczesności na wyświetlaczu dotykowym. Spoglądam na plan. Ostatnie piętro ma numer 31. Wybieram więc taką liczbę z panelu i bezszelestnie ruszam na spotkanie z szefem. Winda porusza się tak cicho, że niemal słyszę bicie swojego serca, łomoczącego coraz szybciej w miarę wysokości, na jaką się wznoszę. W końcu drzwi otwierają się, powoli wychodzę na długi, niemal równie sterylny korytarz. Po obu stronach wejścia do windy stało dwóch roślących osiłków w szytych na miarę garniturach z miejscem na bezkarkowe szyje. Ładnie się ze mną przywitani, po czym przystąpili do procedury dokładnego obszukania mnie. Gdy stwierdzili, że nie wnoszę żadnych niebezpiecznych narzędzi ani sprzeciwu wobec tego, co robią, puścili mnie. Szedłem powoli, nie wiedząc, czego się spodziewać. Nerwowym ruchem pociągnąłem za kłamkę. Otworzyłem szeroko obydwoje drzwi.

W pomieszczeniu, pomimo wielkiego okna, panował niesamowity mrok ze względu na ciemne, nieprześwitujące kotary. W ich kierunku zwrócona była postać siedząca za biurkiem. Wpadające przez szczelinę między zasłonami światło uwidaczniało smugi dymu z papierosów.

– Zamknij za sobą drzwi, nie lubię przeciągów – rzucił na przywitanie szef, trzymając papierosa w dłoni i patrząc się w okno, które notabene było zamknięte, więc o przeciągu nie mogło być mowy. Szybko wykonałem polecenie i stanąłem przed drzwiami, zwrócony ku niemu.

– Dzień dobry, panie Van Cronen. Chciał mnie pan widzieć. . .
– odpowiedziałem z pokorą w głosie.

– Istotnie, prosiłem, abyś do mnie zajrzał. Chciałem cię poznać, Stevenson. Twoje wyniki z poprzedniej pracy dobrze rokują na naszą współpracę. Możesz być cennym nabytkiem dla naszej firmy. Wszystko zależy od ciebie. To wszystko, możesz wracać do pracy.

Charyzma jego głosu spowijała powietrze niczym pajęczyna. Takiego tembru nie słyszy się na co dzień. Skądś znam ten głos. Ale skąd? Z poprzedniej pracy? Nie, mało prawdopodobne. Z jakichś wcześniejszych? Nie, to raczej też nie to. Praca w służbach. . .

To już raczej niemożliwe. Ale nie dawało mi to spokoju ani na chwilę. Co to za akcent? Gdzie ja wcześniej słyszałem ten głos? Podziękowałem za rozmowę, pożegnałem się i powoli opuściłem gabinet szefa, tak jak powoli do niego wszedłem. Po drodze minąłem dwóch wyjątkowo szeroko uśmiechniętych ochroniarzy, którzy parę minut wcześniej mnie obszukiwali. Dziwne. Co to za firma? Niby normalne ogłoszenie w codziennej gazecie, zgłosiłem się na rozmowę, przyjęli mnie i jestem. Ale czemu poszło tak łatwo? Przecież tu się nic nie robi. Przynajmniej na razie... Wszedłem do windy i zjeżdżam na swoje piętro. Nie opuszczają mnie myśli związane z nowym szefem. Więc to jest Van Cronen, właściciel kilku dużych biur maklerskich w mieście? Można powiedzieć, że w branży jest otoczony czymś na kształt kultu. Jeśli jest dobry w tym, co robi, to cieszy się szacunkiem. Ale czy szacunek nie rodzi się pośrednio ze strachu?

Wróciłem do biura i dokończyłem zlecone na dziś zadania. O godzinie 16.30 wstałem od biurka i zacząłem się zbierać. Zjechałem na sam dół, na parking. Po zapakowaniu się do swojego, wiekowego już dodge'a ruszyłem wreszcie do domu. W niecałą godzinę byłem na miejscu. Wolno stojący domek jednorodzinny z podjazdem i ogródkiem z tyłu na grilla. Jeden z wielu na tej ulicy, różniący się tylko numerem i brakiem amerykańskiej flagi na maszcie. Dzieciaki bawią się na ulicy i podjazdach domów. Wołające swoje pociechy do domu matki zwiastują porę obiadową. Ja też czuję, że czas coś zjeść. Przed dom wychodzi moja żona, Rachel i macha uśmiechnięta. Za nią biegnie nasza pięcioletnia córka, Emily. Wyszły przywitać mnie po pierwszym dniu w robocie. Kochane dziewczyny.

– Myślałam, że już się nie doczekam!

– Jak było w pracy, tatusiu? – Obie zaczęły mnie mocno ścisnąć.

– Dobrze. Chyba nie ma na co narzekać. Na razie. Opowiem wam resztę przy obiedzie. Co dzisiaj dobrego?

– Chodź, sam zobaczysz. Koniecznie musisz nam wszystko opowiedzieć.

– Wszystko! – dodała Emily.

Weszliśmy do domu. Mamy go od niedawna. Udało się oczywiście kupić z prawie spłaconym kredytem. Okazja jak nigdy. Teraz, kiedy mam nową pracę, wszystko zaczyna się układać. Gdy miesiąc temu straciłem poprzednią robotę, za błąd, który rzekomo popełniłem, zacząłem tracić wiarę. Wątpliwości w nadzieję na lepsze jutro skutecznie rozwiewał zresztą mój prawnik.

Obiad w rzeczy samej wyszedł świetnie. Kurczak w sosie słodko-kwaśnym, purée ziemniaczane, tak jak lubię, sałatka. Obrazu całości dopełniłoby jakieś dobre wino, ale nie miałem dziś ochoty. Rozmowy przy stole wyszły nam dzisiaj tak, jak nigdy ostatnio. Opowiedziałem wszystko dokładnie ze szczegółami, co robiłem w pracy. Słuchałem z zainteresowaniem, jak poszło córce w przedszkolu i jak poszły żonie obliczenia rachunkowe, które wykonuje w domu dla małej firmy. Fajna fucha, też bym taką chciał. Po skończonym posiłku pomogłem Rachel sprzątać. Piękna z niej kobieta, powiem nieskromnie, trafiłem na diament. Niezwykle ciepła i sympatyczna. Spontaniczna i rozważna zarazem. Inteligentna i zabawna. Łączy w sobie wszystkie cechy, które lubię najbardziej. Blond, lekko kręcone włosy do ramion. Niebieskie oczy, piękne usta, idealna figura. Sto sześćdziesiąt pięć centymetrów seksapilu. Nawet po urodzeniu dziecka nic nie straciła ze swojej urody. Czasami się zastanawiam, co ona we mnie widzi? Może właśnie nic, ale i tak mnie kocha. Czy to niewystarczający powód, by powiedzieć, że życie jednak jest piękne? Moje nie jest. Co najwyżej ładne. Piękna jest moja żona. Jako że dzisiaj wypadła jej kolej na kąpiel Emily, mnie przysłała rola usypiacza. Oddałem się tej czynności z największą przyjemnością, wiedząc, że zawsze przed snem należy przeczytać dziecku kawałek jakiejś bajki.

– To co dzisiaj, *Brzydkie Kaczętko* czy *Królewna Śnieżka*?

– *Transformers!*

– To nie jest bajka do czytania na dobranoc.

– *Transformers!*

– A co powiesz na *Shreka*?

– *Batman!*

– A już nie chcesz *Transformers*?

Zdecydowanie to cecha, której Emily miała się chyba dopie-

ro nauczyć. Typowo chłopięce bajki, które co najwyżej występują w formie komiksów, to niezbyt dobra lektura dla zasypiającej pięciolatki. Znowu musiałem improwizować. Parę dni temu wymyśliłem jej bajkę o krowie, która lubiła słodczyce. Do tego była cała masa innych zwierząt-bohaterów o różnych cechach charakterystycznych. Kontynuowałem więc opowieść, aż mała usnęła. Blond włosy i niebieskie oczy po mamusi. Roztrzepanie ma chyba po mnie. Niech śpi słodko. Nakryłem ją kołdrą po szyję i wyszedłem z jej pokoju. Rachel już leżała w łóżku. Wziąłem prysznic i położyłem się koło niej. Jutro kolejny dzień w firmie Van Cronen LTD. Wciąż nie dawał mi spokoju mój nowy szef. Skądś go znam, ale skąd? Jutro będę się nad tym zastanawiał. Jeśli znowu będę miał do roboty to, co dzisiaj, czasu będzie aż nadto.

2.

Wstałem jak wczoraj, o siódmej rano. Rachel przeciągała się jeszcze po łóżku, a Emily nadal spała. Udałem się do łazienki na poranną toaletę. Gdy wyszedłem, ubrany już w koszulę i krawat, czułem zapach świeżo parzonej kawy i tostów z kuchni. Przy stole siedziała córka, a żona nalewała mi właśnie kawy z dzbanka. Świetny smak, jak zawsze zresztą. Porozmawialiśmy krótko i musiałem niestety się zbierać. Gdybym wyszedł po ósmej, utknąłbym w korkach. Wszystko wziąłem? Zapakowałem się do samochodu w takim pośpiechu, jakby świat się kończył. Popatrzyłem na werandę. Rodzina macha mi na pożegnanie, na co odpowiadam posyłając im całusa przez szybę.

Będzie dzisiaj gorący dzień. Temperatura już przekracza dwadzieścia stopni, a przecież jeszcze jest rano. Zaczynają tworzyć się korki. Centrum już jest zatłoczone, jednak docieram pod siedzibę firmy na czas. Wjeżdżam na podziemny parking. Ochroniarz już mnie zna i otwiera szlaban, mogę wjechać. Dziwne, na jego twarzy maluje się lekki uśmiech. Wąsaty Afroamerykanin w średnim wieku, pewnie miał wczoraj udany dzień i liczy na powtórkę. Parkuję w tym samym miejscu, co wczoraj. Obok mnie stoi już mercedes, pewnie szefa albo innej ważnej szycy z firmy. Fajnie, parkuję

obok szefa; żeby jeszcze w innych aspektach pracy było tak lekko. Wjechałem windą na swoje piętro i wszedłem do pokoju, małej klitki zwanej moim biurem. Od razu zająłem się tym, co wczoraj: wklepywanie danych. Nic stresującego ani trudnego w pierwszych dniach pracy. Chcą poczekać, aż się wdrożę, dostanę wtedy ambitniejsze zadania. Po półtorej godzinie dostaję telefon. Pierwszy raz, odkąd tu jestem, dzwoni telefon. Patrząc, wewnętrzna linia, czyżbym zajął komuś miejsce na parkingu?

– Pan Stevenson?

– Przy telefonie.

– Mówi Amy z recepcji. Dostałam właśnie wiadomość, że mam pana powiadomić o natychmiastowym stawieniu się w gabinecie pana Van Cronena.

– Dziękuję bardzo, zaraz tam będę.

Co to ma znaczyć? Znowu szef mnie wzywa? Czemu zostaję o tym powiadomiony w ten sposób? Nie mógł ktoś po prostu zajrzeć do mnie i dać mi znać? Po co angażowali babkę z recepcji całego budynku, żeby mi to powiedziała? Nie wiem i chyba się nie dowiem. Znam drogę, więc wstaję od biurka, biorę marynarkę i wychodzę. Pewnym krokiem zmierzam w stronę windy. To dziwne, na korytarzu nikogo nie ma. Rano, tuż przed dziewiątą było tu sporo ludzi, kręcili się po pokojach, ganiali gdzieś z papierami itd. A teraz? Nie słyhać nawet rozmów przez telefon, pracy drukarek i komputerów w mijanych przeze mnie pokojach, słowem – nic. Jakby wszyscy wyskoczyli przez okna. Rozpłynęli się w powietrzu. Może teraz jest jakaś przerwa? Nie wiem, wielu rzeczy tutaj nie wiem i nie podoba mi się to. Może parę kwestii uda mi się wyjaśnić w gabinecie szefa. Ciekawe, co ode mnie chce? Może już awansowałam? Dostanę lepsze, bardziej ambitne zadania do wykonania? A może wczoraj coś spieprzyłem? W miarę upływu czasu w mojej głowie powstaje coraz więcej teorii na ten temat. Nic to, przywołuję windę. Dość długo czekam, jedzie aż z parteru; do mnie, na piętnaste piętro dociera po upływie minuty. W windzie wybieram numer trzydzieści jeden, jak wczoraj, i po upływie następnej minuty jestem już na miejscu. Wychodzę, przed wejściem stoją, jak wczoraj, goryle Van Cronena. Uśmiechają się lekko, jak

wczoraj, gdy wracałem do biura. Zatrzymuję się przy nich i podnoszę ręce, by mnie obszukali. W odpowiedzi oni uśmiechnęli się jeszcze szerzej i stwierdzili, że to zbyteczne i mogę iść. Nie wiem, co mnie bardziej zdziwiło w tej sytuacji, ale poszedłem dalej. Przed otwarciem podwójnych drzwi gabinetu jeszcze się obejrzałem. Stali tam nadal i przyglądali mi się. Pociągnąłem za klamkę i powoli przestąpiłem próg. Ponownie utonałem w mroku pokoju wypełnionego dymem z papierosów i smugą światła z wielkiego okna. Postać siedząca za biurkiem zaciągała się papierosem i wpatrzona była w okno; jakbym miał *déjà vu*, to wszystko przecież już raz widziałem. Zamknąłem drzwi i wtedy usłyszałem jego głos. Ten sam. Ten, który nie dawał mi spokoju od dobrych dwudziestu czterech godzin.

– Witam, panie Stevenson.

– Dzień dobry.

– Wiesz, czemu cię wezwałem?

– Nie, proszę pana.

W tym momencie drzwi za moimi plecami otworzyły się. Weszło tych dwóch osiłków sprzed windy. Uśmieški pozostały na ich facjatch, tak jak były. Stali tuż za mną, jakby chcieli mi przyłożyć. Czekam, co się stanie. Van Cronen mówił dalej.

– Muszę ci to przyznać, niezłą historyjkę ci wymyślili. A może sam podsunałeś im ten pomysł? Makler? Doprawdy, myślałem, że stać cię na więcej.

Zamurowało mnie. Jak on? Skąd on? Kto mu o tym wszystkim powiedział? Setki myśli przelatywało mi przez głowę w ułamku sekundy.

– Stevenson? A może powinienem powiedzieć Browning? Martin Browning? Poznaliśmy się już wcześniej. Ale pod innymi nazwiskami. Ostatnim razem widzieliśmy się jakieś siedem lat temu. Mówi panu coś nazwisko Calderon?

I wtedy mnie olśniło. To Ramon Calderon! Gość, którego ścigaliśmy przez dwa lata. Międzynarodowy przestępca, ścigany przez Interpol, FBI i CIA, w której pracowałem od skończenia szkoły aż do poznania Rachel. Odszedłem dla niej. Nie mogłem dłużej ryzykować. Nie mogłem, zwłaszcza że pojawiła się Emily. Przez

te kilka lat pracy w CIA poznałem świat. Poznałem życie, poznałem ludzi, którzy je odbierali, poznałem sam siebie. I przeraziło mnie to wszystko. Rodzina tak naprawdę utrzymała mnie przy życiu. Dla niej zrezygnowałem z pracy, nie mogłem się więcej narażać. Teraz oni są wszystkim, co mam. Bez nich nie istnieję. Sprawa Calderona była ostatnią, nad którą pracowaliśmy. Handlował narkotykami, miał w kieszeni połowę Ameryki Południowej. Jego wpływy sięgały nawet południa Stanów Zjednoczonych. Ścigaliśmy go miesiącami, nigdy nie nocował dwa razy w tym samym miejscu. Dotarliśmy do jego kryjówki w Kolumbii. Z naszych informacji wynikało, że tam będzie. Wywiązała się ostra strzelanina, kilkunastu ludzi ostrzelało biuro w jego rezydencji, skąd padały strzały. Gdy skończyło się piekło, które rozpętaliśmy, okazało się, że Calderona tam w ogóle nie było. Zabiliśmy dwóch ochroniarzy i jego ciężarną żonę. Winę wziąłem na siebie, mimo że byłem współ-dowodzącym całą akcją. W raporcie napisaliśmy, że zginęła od przypadkowej kuli w strzelaninie. Nikt oczywiście nie sprawdzał balistyki. Wkrótce po tej akcji poznałem Rachel i odszedłem z pracy w służbach. Przeszedłem całą procedurę zmiany nazwiska, danych, adresu itd. Udało mi się wszystko tak załatwić, żeby się nawet nie zorientowała, czym się do niedawna zajmowałem. I teraz, po siedmiu latach, znowu się spotykamy. Słynny nieuchwytny Ramon Calderon. Jak on mnie odnalazł? Cały praworządny świat go szuka, a on siedzi tu przede mną i gada do mnie.

– Dawno temu odebrał mi pan coś, co należało do mnie. Czas wyrównać rachunki.

Słyszałem, co mówi, ale nie chciałem rozumieć. W głowie miałem tylko dwie myśli. Z setek przelatujących przez mój umysł w ułamku sekundy zrobiły się nagle tylko dwie. Rachel. Emily. One są celem. Rzuciłem się w stronę Calderona, lecz czujni ochroniarze powstrzymali mnie i nie posunąłem się nawet o pół metra w stronę biurka jednego z największych przestępców tego świata. Wycofałem się, wyrwałem spod opieki i pędziłem co sił w stronę windy. Stamtąd od razu na parking. Czym prędzej do mojego wysłużonego dodge'a. Czym prędzej do domu. Oby nie było za późno...